

Magister historii kończy pracę

Z lękiem liczymy dni do objęcia urzędu prezydenta RP przez Andrzeja Dudę. Kończąca się „koszmarna kadencja”, jak nazwał okres 5-letniej prezydentury Bronisława Komorowskiego redaktor Paweł Siergiejczyk, zaczęła się 10 kwietnia 2010 roku, kiedy to marszałek sejmu Komorowski przejął obowiązki głowy państwa, nie czekając na oficjalne potwierdzenie śmierci prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Zaraz potem zaczęła się jego walka z Krzyżem na Krakowskim Przedmieściu, i z tymi, którzy chcieli upamiętnić poległych w Smoleńsku. Potem mieliśmy próbę uroczystego odsłonięcia pomnika bolszewików w podwarszawskim Ossowie, a wcześniej liczne nominacje generałów wszystkich rodzajów wojsk, szkolonych wcześniej w Moskwie. Bronisław Komorowski przygarnął do siebie ludzi zasłużonych dla PRL-u, od swojego doradcy prof. Nałęczka do szefa NBP prof. Belki, po gen. Kozieja – szefa BBN, do którego dołączył później jako doradca gen. Jaruzelski. Prawie że odtworzył rząd „transformacji” Mazowieckiego złożony z działaczy Unii Demokratycznej, a później Unii Wolności. Posypały się dla nich setki medali, w tym te najwyższe, Ordery Orła Białego dla Jana Krzysztofa Bieleckiego, Aleksandra Halla, Adama Michnika. Ta „koszmarna kadencja” obfitująca w przykłady buty i arogancji, braku elementarnej kultury, prymitywnych zagrywek i gaf przejdzie do historii jako recydywa komuny i tryumf lewactwa zakamuflowanego fałszywą katolicką pobożnością i udawanym konserwatyzmem.

Jeszcze zdążył zapewnić swoich towarzyszy senatorów z Platformy, że podpisze ustawę o in vitro, jeśli będzie konstytucyjna, czyli nie będzie zawierała definicji genomu czy zarodka ludzkiego jako źródła życia. W ten sposób dał do zrozumienia, że zaklepie ustawę, nie naruszając konstytucji, która zapewnia każdemu człowiekowi, także temu w najwcześniejszej jego fazie swojego rozwoju, prawną ochronę życia. Będzie mógł zatem trwać w swojej dekadentckiej deklaracji, że popiera in vitro, bo kocha przecież wszystkie dzieci.

Jeszcze zdążył pojechać do Niemiec, by ku satysfakcji tamtejszych władz, tworzących nową historię Niemiec jako kraju okupowanego przez nazistów, złożyć kwiaty pod tablicą upamiętniającą przywódcę „antyhitlerowskiego ruchu oporu” Clausa von Stauffenberga. Oczywiście Komorowski nie czytał listów Stauffenberga do rodziny, w których zawarta jest nazistowska pogarda dla Żydów i Polaków. A zatem wpisując się w fałszywą niemiecką historyczną narrację, kłaniając się przed niemieckim najeźdźcą z 1939 roku, złamał Konstytucję, w której prezydent przysięga strzec godności Narodu. Co ciekawe, Wiadomości TVP, relacjonując prezydencką wizytę w Niemczech, nawet nie wspomniały o hołdzie Komorowskiego dla pułkownika Stauffenberga. Pewnie jakieś niedopatrzenie. A warto by było przytoczyć tu także wystąpienie Hansa Poetteringa, byłego szefa Parlamentu Europejskiego, obecnie dyrektora Fundacji Konrada Adenauera: „Niecałe dwa tygodnie po zamachu z 20 lipca

1944 roku Armia Krajowa rozpoczęła w Warszawie powstanie zbrojne przeciwko niemieckiemu okupantowi”.

Tak więc zamachowiec na Hitlera Stauffenberg swoim bohaterskim czynem dał impuls Armii Krajowej do walki z okupantem. I tak to zrozumiał Bronisław Komorowski, wtórując Poetteringowi: „W jakiejś mierze polski zryw niepodległościowy 1 sierpnia 1944 roku wpisuje się, niezależnie od intencji, także w ten kalendarz wydarzeń, w którym funkcjonuje tradycja 20 lipca 1944 roku, a więc tradycja zamachu na Hitlera”.

Czyli niemiecki pułkownik nazista zainspirował ówczesną Europę do walki o pokój i demokrację, czego potwierdzeniem była po latach berlińska uroczystość „Obchody Europejskiego Ruchu Oporu”, zaszczycona udziałem polskiego prezydenta.

Ale bywało gorzej. Przypomnę przemówienie Władimira Putina w Moskwie, w 70. rocznicę wybuchu II wojny światowej, kiedy to Putin dziękował niemieckiemu ruchowi oporu, nie wspominając nawet jednym słowem o Polakach walczących na wszystkich frontach wojny (także ramię w ramię z Rosjanami) i zorganizowanych politycznie i militarnie w pierwszym i największym w Europie państwie podziemnym.

W prezydenturze Bronisława Komorowskiego bolały mnie najbardziej jego historyczne dywagacje. Jak można było nie wspomnieć młodzieży, w rocznicę Powstania Warszawskiego, przeciwko komu walczyli Powstańcy, jak można było nie dodać, że to Rosja Stalina zaatakowała nas 17 września 1939 roku, jak można było w czasie wystąpienia na forum parlamentu Ukrainy

pominać fakt ludobójstwa dokonanego na Polakach przez ukraińskich nacjonalistów? Jak można było w czasie kampanii prezydenckiej odwoływać się do Średniowiecza jako symbolu zacofania i obskurantyzmu.

Dobrze, że magister historii Bronisław Komorowski kończy swoją pracę. Na pocieszenie zostały mu liczne tytuły doktora honoris causa.

Wojciech Reszczyński

459Nasza Polska 14.07.2015